



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



Doświadczenie fizyczne.

Łamanie się i rozkład światła.

Jeśli promień słońca padnie na kroplę rosy, widzimy tę kroplę zabarwioną tęczowo, czyli że odróżnić w niej możemy siedm kolorów tęczy: czerwony, pomarańczowy, żółty, niebieski, szafirowy i fioletowy. Skądże pochodzi ta różnobarwność? Aby na to pytanie odpowiedzieć, musimy zajrzeć do fizyki; ta część jej, która zajmuje się zjawiskami świetlnymi, mianowicie optyka, uczy nas, że jedynie ruch cząsteczek nie-

pochwytnego eteru, pozwala naszemu oku spostrzedz światło, a ono samo wywołane jest także ruchem atomów danego świecącego ciała. Otóż ów eter przynosi nam promień światła słonecznego, który w drodze swojej napotyka, dajmy na to, szklaną wodę. Woda różni się między innymi od powietrza gęstością; promień przechodząc przez wodę, natrafia na większy opór niż w powietrzu i zbacza z drogi; to zboczenie właśnie z linii prostej, po której sunie promień, zwiemy załamaniem się światła.

Lecz wiadomo już czytelnikom Wieczorów, że załamanie się światła wywołuje też i jego rozkład na siedm kolorów tęczy. Otóż przekonano się, że różnorodność barw wynika jedynie z różnej szybkości drgań cząsteczkowych danego ciała. Gdy zwyczajny biały promień światła załamuje się, wtedy siedm barw w nim zawartych, z których każda ma inną szybkość, rozbiegają się, najbliższym pierwotnej drogi promieniem będzie barwa czerwona, a najwięcej odchyloną, barwa fioletowa, inne kolory zajmują punkta pośrednie. Poniżej podane doświadczenie pozwoli naszym czytelnikom przyjrzeć się tak załamaniu, jak i rozkładowi światła.

Nachylmy szklaną, w trzeciej części napełnioną wodą, a otrzymamy pryzmat, na którym będziemy mogli obserwować zjawisko łamania się i rozkładu światła.

Doświadczenie to można robić bądź-to na słońcu, bądź też w ciemnym pokoju. W pierwszym przypadku umieszcza się szklaną w smudze światła nad kartą białego papieru i nachyla się w ten sposób, aby oś szklanki leżała równolegle do promieni słonecznych. Następnie osłania się szklaną kartonem, tak jak nam to rycina wskazuje. Lecz w kartonie tym należy poprzednio wyciąć wąski otwór, przez który przechodzić będą promienie słońca. Otwór ten odbija się bardzo wyraźnie na karcie białego papieru, leżącego pod szklanką. Trzymajmy karton w ten sposób, aby ten otwór znajdował się równolegle do powierzchni płynu, wtedy zniknie dotychczasowo-

wy obraz, a natomiast ukaże się bliżej szklanki inny obraz kolorowy, który będzie tylko odbiciem słońca we wszystkich jego barwach (tęczowych). Nastąpiło zatem łamanie się i rozkład promieni.

Aby mózdz łatwo porównać położenie tych dwóch obrazów, wycina się w kartonie drugi otwór na tej samej linii co pierwszy; wtedy jeden promień słońca pada wprost na papier, drugi zaś przechodzi przez szklankę z wodą; z różnicy położenia tych dwóch odbitych na papierze promieni, widzimy wyraźnie, że promień przechodzący przez szklankę zboczył z drogi, czyli załamał się,

Jeżeli to samo doświadczenie zrobimy w ciemnym pokoju, do którego wpada tylko snop światła słonecznego, wtedy będziemy mogli dokładnie obserwować i załamanie się promieni przy wejściu do płynu i zabarwienie się owych załamanych promieni.

KULIG.

(Dokończenie).

Opanowanie przecież rozszalałej czwórki, nie okazało się rzeczą łatwą. Dyszlowe konie, próbowały się wprowadzić zatrzymać, szarpnęły w tył gwałtownie, lecz pociągnięte przez przednią parę, poszły dalej w podskokach.

— Hoo! — szarpiąc lejcami, wołał stangret zdyszany. Kara źrebica rozbijała. potrząsała tylko głową, prowadząc dalej galopem czwórkę. Od krzyża wprowadzić konie same, gnać grozą obawy, czując we wsi bezpieczeństwo, tuż za mostkiem i niewielkim parowem, skrzyły znajomą drogą... W tej chwili przecież sanie przechyliły się nagle na bok i wyrzuciwszy w śnieg podróżnych, pociągnięte zostały dalej przez rozbiegane karosze.

W pierwszym impecie rzuceni na drogę ludzie, nie wiedzieli prawie co się z nimi stało. Pierwszy, stękając, dźwignął się Michał i siadłszy w śniegu rozglądał się półnieprzytomnym wzrokiem. Nieopodal podnosiła się z ziemi pani Ilka, dalej trochę Wandzia i Celinka. Zdaleka słychać było brzęk dzwonek, przy uprząży nękających w ciemnościach koni.

— Na Boga, żyjecie, dzieci?! i ty cały jesteś Michale?!

— Żyjemy, mateczko! nic nam się nie stało! — odpowiedziała Celinka. — W śniegu miękko nam było, jak w pierzynie. Prawda, Wańdziu?

— Niezupełnie — popłakując trochę z przestachu, wyjąkała Wandzia.

— Czyś się gdzie uderzyła? lub zraniła, broń Boże? — niespokojnie pytała matka.

— Ej, panienczka przelekła się ino trochę! — podnosząc dziewczynkę uspokajał woźnica. — Gdzieby się tu stłuc, w takim ogromnym śniegu?

— Nic mi nie jest mateczko... ale boję się strasznie wilków... Jak nas teraz dogonią!...

— Przecież już jesteśmy tuż pod wsią, i nic nam się stać nie może — zaniepokojona trochę sama odparła pani Ilka.

— Bezpieczniej zawsze prędzej pójść w stronę wioski — oglądając się za siebie, doradzał Michał. — Tu u nas wilków wiele nie bywa, te, cośmy widzieli, naszły za żerem z większych borów, nie ośmielią się też pewnikiem gonić nas aż do wsi. Niech wielmożna pani pójdzie naprzód z panną Celiną, a ja z panną Wandzią pójdę przez zasy. Śnieg bo śnieg, ale przecież jakoś zajdziemy, a jak się zmęczy panienka, to wezmę na ręce.

Ruszono więc z mozołem kopiąc się przez zawianą drogę. Pani Ilka pod rękę z Celiną postępowały przodem. Michał za niemi prowadził Wandzię, wylekłą, drżącą, oglądającą się trwożnie w stronę lasu.

— Patrzcie, ot! i okna w chatach błyskają! — dodając otuchy dziewczynkom, zawołała matka.

— Prawda, prawda! widać światła!...

— Ej proszę pani, to nie okna chat świecą! — odparł woźnica — tak to wygląda, jakby te światła ruszały się i szły ku nam.

— Boże! znowu wilki! — pomnąc świecące oczy napastników, krzyknęła Wandzia.

— Oj, jakaś ty dziecinna! — zawołała Celinka. — Czyż to wilki mają takie ogromne oczy?

— Widać wyraźnie, że ktoś z latarniami zbliża się w naszą stronę.

Uwaga Michała okazała się prawdziwą. Wśród wierzb na drodze, ukazały się wkrótce dwie ludzkie postacie, dążące prędko, z latarniami w rękę. Na samym też mostku, spotkano się z wysokim chłopem, który w towarzystwie dziesięcioletniego chłopaczka, dopadł podróżnych, spotniały i zdyszany. Okazało się, że obaj z synem, śpieszyli im na ratunek.

— Chwała-ż Bogu, że wielmożne państwo całe i zdrowe! — zawołał chłop. — Konie z sankami wpadły na nasze podwórko i poznaliśmy zaraz, że to osieckie. Mówię tedy: słuchaj ino mały, bierzmy latarki i skoczmy, nic innego, jak, że państwa wysypały gdzieś bestye na drodze... Niechże wielmożna pani uchwyci się mój ręki, a lżej pójdzie w śniegu. Chryste Jezu, że panie nie pozabijały się na miejscu!...

Przy pomocy silnego chłopca, podróż szła znacznie szybciej. Po kwadransie też drogi, zatrzymano się u drzwi chaty, stojącej z brzegu wioski. Był też i czas wielki na odpoczynek. Wszystkie trzy panie, zaśniewione, zziębłe, wylekłe, upadały prawie ze znużenia. Z prawdziwą też radością, przestąpiły próg maleńkiej chateki, do której gościnnie zapraszał gospodarz.

Po chwili znajdowały się już w ciasnej, zakopconej dympem izdebce, i dziewczynki obie uśmiechnęły się radośnie, na widok płonącego ogniska.

— Ogień! — wyciągając ręce zawołała Wandzia radośnie.

Przyjemne wrażenie zwiększyło się jeszcze, gdy od komina podniosła się drobna postać i oczom pań, w blaskach ogniska ukazała się znajoma, uśmiechnięta buzia i wesołe błękitne oczęta.

— A! to krewniaczka Piotrusi, Basia! — zawołała pani Ilka. — Czy tu mieszkasz, moje dziecko?

— Tu proszę pani, a to właśnie mój tatuś i braciszek, co przywiedli tu panie. Niechże panie będą łaskawe — przyśuwając ławę do pieca szczebiotała młoda gospoia. — Matka na wsi u chorego wuja, ale ja zaraz, lepszego jeszcze ognia naniecę.

Panienci tymczasem dopadły już komina, i tupiąc nóżkami, rozgrzewały się jak mogły. Ta szczuplutka, przyciemna izdebka, po której uwijało się dzieci kilkoro, pełna ubogich, prostych sprzętów, wydała im się bardzo miłą. Dobroczynne ciepło ogarniało ich przeziębłe członki, zsiniałe twarzyczki znowu poczynęły się rumienić.

— A nasz kulig?! — westchnęła Celinka. — Ten człowiek poczywy mówił, że sanki potrzaskane prawie w drzazgi, jakże więc do Psar dojedziemy?

— Eh, co tam Psary — drżąc cała odparła Wandzia — wołałabym w tej chwili leżeć w moim łóżeczku...

— Czyś nie chora Wandeczko? — zapytała niespokojnie pani Ilka.

— Nie mateczko... tylko bardzo mi zimno i strasznie czuję się zmęczoną... Nogi to prawdziwie sztywne mam jak z lodu...

— Panienczka pewnikiem przemarzła do szpiku! — ozwała się Basia, która w swojej zagrodzie okazała się o wiele śmielsza i rezolutna. — Boże zachowaj z tego choroby? Niech no panienka siądzie tu na ławie, a ja ogień rozniecę i zagrzeję trochę wody. Bardzośmy biedni, niech panie wybaczą... ale choć trochę wodzianki zgotuję.

Mówiąc to mała gospoia, poskoczyła do alkierza, skąd wróciła wkrótce, z kożuskiem w rękę.

— Niech panienka pozwoli — przemówiła pokornie, klękając przy nogach dziewczynki — kożuszek nowiuteński, ani razu jeszcze nie miałam na sobie! — zapewniała, owijając stopy Wandzi. — Mój Jezu, jak też dużo śniegu nasypało się w trzewiczki, to to tak ziębi... Tak, teraz ciepłej będzie panience. — Zaraz będzie i wodzianka gorąca — Masło i słoninę, to mamy jeszcze te, co pani kazała mi dać wtedy, jak chodziłam do Piotrusi.

Siedząc na ławie, Wandzia drzemała. Bielutki kożuszek Basi, choć nie bardzo przyjemnie pachniał, ale wybornie ogrzewał jej nogi. Od komina rozchodziło się gorąco. Tak jej było dobrze! tak dobrze! Matka z Celinką wyszły przed chatę, gdzie Michał z ojcem Basi majstrowali coś około popsutych sani; ale ona nie poruszyła się z miejscą. Zmęczona, strwożona, zasnęła na ławie, otulona miękkim baraniem futrem.

Gdy się zbudziła, wielki ogień z suchych sosnowych gałęzi, huczał na kominie, tuż przed ławą skrzętna Basia ustawiła stół, na którym dymiła misa świeżo zgotowanej zupy.

— Niech panie będą łaskawe... niech panie nie gardzą — zachęcała mała gospoia.

Pani Ilka nie była głodną, panienki za to z apetytem zabrały się do ciepłej strawy, która smakowała im wybornie.

— Wiesz, Celinko, nic równie dobrego nie jadłam w życiu! — łowiąc łyżką pływające po misce skwarki, przemówiła Wandzia.

— I mnie wydaje się to znakowitem! A wiesz czemu? To ten strach i zimno zaostriły nam tak apetyt.

Stojąca obok Basia, uśmiechała się radośnie na widok szybko wypróżniającej się misy.

— Przyjdź-że do nas moja Basiu zaraz jutro, muszę na nowo zaopatrzyć ci spiżarnię, za to co wyjedzą ci moje panny — żartowała pani Ilka.

— Proszę pani... przyjdź to przyjdę — całując panią w rękę, odparła dziewczynka — ale że panienki nie gardzą moją strawą, toć przecie tylko dla mnie z tego uciecha!

— Późna noc była, gdy gospodarz z Michałem ukazali się w izbie oznajmiając, że jako tako zdołali zreperować potrzaskane przez karosze sanki i że można w dalszą puścić się drogą.

O kuligu w Psarach nie było już co i myśleć. Dziewczki obie, w zmiętych, zmoczonych śniegiem kostiumach, marzyły tylko o ciepłych wygodnych łózkach i filiżance herbaty. Rada w radę z obawy nowej napaści wilków, postanowiono wrócić do domu inną, dalszą, lecz nie przez lasy wiodącą drogą.

Pożegnawszy gościnnych chłopków i poleciwszy raz jeszcze Basi, stawić się jutro we dworze, ruszono szparko z przed chaty.

Na niebie zapalał się już świt rumiany, gwiazdy gasły, gdy oczom zziębłych podróżniczek ukazały się zdala osieckie dworskie zabudowania. Widok ten rozradował zmęczone panienki, które milcząc całą drogą, teraz dopiero poczęły gwarzyć.

— A co, nie udała się nasza zabawa! — westchnęła Celinka.

— Ej, co tam zabawa, podziękujmy Bogu, że żywo do domu wracamy — odparła Wandzia. — Wiesz Cesi, tych błyszczących w lesie oczu, nie zapomnę do śmierci.

— A jaka ta uboga chatka, wydała nam się potem miła! a jacy ci ludzie poczciwi?!

— Ach prawda, mateczko! — ciszej przemówiła Wandzia — jak ja tam u Basi wstydyłam się dziś za siebie! jak się wstydyłam! Ona nie żałowała mi kożuszka, nie wołała, że mokremi nogami, wałam jej najlepszą, nowiuteńką odzież! A widziałam, uważałam dobrze, że splamiłam jej błotem żółtą, czyściuteńką skórę.

— Uważałam i ja to samo — całując córkę, odparła pani Ilka. — Nie chciałam tylko przypominać ci tego, widząc, że nad dobrocią małej tej gospoia zastanowisz się sama.

— Pomyślałam sobie zaraz, że lepszą jest odemnie. Ale, mamusi, ja muszę jej to wynagrodzić koniecznie.

— Co? jej gościnność?

— Nie, moję niegrzeczność. Przez całą drogę rozmyślałam, co mogę uczynić dla Basi.

— I wymyśliłaś?

— Zdaje mi się. Wiem, że gdybym poprosiła matunię, dałaby mi i pieniędzy, i sukienek dla Basi, ale ja chciałabym jej dać coś od samej siebie. Jeśli mama pozwoli, to nauczę ją tymczasem czytać, później pisać, rachować. W miarę jak sama będę się kształcić, zajmę się i jej wychowaniem...

— No, a później jeszcze?

— Później zobaczymy. Rodzice mi doradzą, jak ją dalej kierować.

— Bardzo dobre, rozsądne postanowienie! — odparła pani Ilka. — Od wiosny, gdy przeprawa z Głapińca nie będzie tak utrudniona, każę Basi codziennie, przychodzić do ciebie na lekcję, gdy zaś zobaczymy, jak przyjmować będzie nauki, zajmujemy się szczerze jej losem.

— Jaka mamusia dobra! — zawołała dziewczynka. — Może z czasem, oddamy ją i na pensję?! a potem jeszcze...

— Zobaczymy, zobaczymy, nie uprzedzaj tylko myślą wypadków! — śmiejąc się przerwała matka.

Rozmowa skończyła się teraz, gdyż konie skreśliły właśnie w bramie zajazdu.

Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

Zofia Urbanowska.

(c. d.)



— Ach, jakże się cieszył — zawołała księżna uradowana. — Zobaczę turnieje o których tyle nazytałam się w rycerskich powieściach i pieśniach mistrelu, a które, niestety, wyszły już w świecie z użycia. Od czasu jak wynalazek prochu zrobił z żołnierza maszynę do strzelania, od której nic więcej się nie wymaga prócz ślepego posłuszeństwa komin-dzie, zręczność rycerza, jego waleczność i męstwo, nie nie znaczą. Pióropuszek wskrzesza dla nas na jeden dzień wieki średnie... Jakże

on dobry! Odpisz kochany bracie, że mu niewypowiedziane wdzięczna i że z niecierpliwością jutrzejszego dnia oczekiwać będę. Ale co on ma na myśli, obiecując nam oświecenie sali żywymi pochodniami?... On tak rozmiłowany w zwierzętach, nie zechce ich chyba żywcem palić, jak to niegdyś czynił Neron z chrześcianami w Rzymie, dla zabawy tłumu.

— Broń Boże! — nie należy nawet przypuszczać nic podobnego. Pióropuszek nie dopuściłby się nigdy okrucieństwa: jest wprawdzie gwałtowny, ale szlachetny i ludzki. Znamy go przecież.

— W głowę zachodzę, co to być może!

— Dowiemy się jutro... Ale wiesz co, kochana siostrze: bardzo to ładnie ze strony Pióropuszka, że dla sprawienia nam przyjemności, daje honorowe miejsce kwiatom na uroczystości jutrzejszej, przeznaczając je za nagrody dla zwycięzców, choć wiemy jak dumny jest z królestwa zwierzęcego, i jakby rad przy każdej sposobności okazać jego przewagę nad roślinami i minerałami. Chciałbym mu się czemś podobnym odwdziżyć, grzecznością za grzeczność wypłacić. Gdybyśmy tak jutro wybierali się w kwiaty przypominające zwierzęta... Co! jak myślisz? Byłaby to miła dla niego niespodzianka.

— Wyborna myśl! — zawołała uderzając w dłonie — ale jakichby tu kwiatów użyć!

— Są różne Storczyki, zwłaszcza z gatunku *Ophrys*, a oprócz storczyków, *Wyślin*, *Lnica pospolita*, *Trędownik*, i kwiaty motylkowe.

— I *Żmijowiec* — dodała z żywością — pamiętaj o żmijowcu!

Żmijowiec... nazwa ta uderzyła mnie swoją niezwykłością, choć wydało mi się, że ją już kiedyś w kraju słyszałem. Ale zdawało mi się, że to nie mogła być roślina, tylko zwierzę. Mówilem sobie że Albatros najprędzej mi to wyjaśni, bo on wprzód służył na dworze Pióropuszką, więc musi znać różne zwierzęta. Poszedłem szukać tego chłopca, nie tak wprawdzie wesołego i porywającego za serce jak Viola, ale bardzo sympatycznego. Zapytałem go wprost co wie o żmijowcu.

— *Żmija*, chyba chcesz powiedzieć — odparł — jestto wąż szary lub rudawy, naznaczony wzdłuż grzbietu ciemno brunatną zygzakowatą pręgą. Ukąszenie żmii często bywa niebezpieczne, nawet zabójcze: kłusząc ciśnie ona zębami na gruczoły, w których zawarty jad spływa przewodem zębów do rany. Ranka jest mała, zaledwie widoczna, podobna do ukłucia szpilki. Osłowieka żmija unika, ale gdy ją kto podrażni lub nadepcze, wtedy staje na ogonie, nadyma się, syczy i otworzywszy paszczę, kąsa.

Gdzieżby królewicz lub księżna, chcieli poubierać się jutro w takie gady szkodliwe! Królowa egipska Kleopatra użyła wężów dla zadania sobie śmierci—ale tu nie Egipt i nikt nie pragnie dobrowolnie umierać. Fakirowie indyjscy znają podobno sposoby oczarowywania wężów i czynienia ich posłusznymi swej woli — ale tu nie Indye i nie widziałem jeszcze ani jednego czarownika. *Żmijowiec* zatem, to musi być coś innego.

— Ja nie o żmiję pytam Albatrosie, ale o żmijowca — powiedziałem.

— *Żmijowiec*, hm... nie wiem co to jest. Może jaka roślina... Tak, tak, roślina, przypominam sobie że ją kiedyś widziałem: ma kolor ciemno-lila i kwiaty podobne do paszczy otwartej. Ale bliższych szczegółów powiedzieć ci nie mogę, bo kwiatów nie znam prawie: za to o zwierzętach będę ci mógł niejedno powiedzieć, gdy pojedziemy do Korolowego grodu. Zapytaj Violi o żmijowca.

Ale nie pytałem Violi, bo jakoś nie było na to czasu. Od chwili przybycia księżnej Primuli, cały dwór miał dużo zajęcia z gośćmi; myślałem jednak wiele o żmijowcu, a więc jeszcze o turniejach i owych żywych pochodniach Pióropuszką, chwilami też niepokoiła mnie ciekawość co do owej tajemnicy wiadomej Abrakadabrusowi i królewiczowej Jagódce, o której zachowanie tak chodziło mistrzowi, że aż nie mogąc sam jej ostrzedz, posłał przezemnie roślinę w argową.

Nazajutrz od samego rana zapowiadał się dzień upalny; termometr o dziewiątej rano pokazywał już + 25° w cieniu.

Królewicz posłał mnie do marszałka dworu z zawiadomieniem, że z powodu gorąca, damy nie pojedą konno do Korolowego grodu, jak to było programem ułożone, tylko będą niesione w lektykach. Rozkazywał przeto Zielonko, aby przygotowano lektykę dla najdostojniejszych osób wygodną, przewiewną i chłodzącą. Żądanie to wydało mi się cokolwiek zatrudnem do spełnienia; pojmowałem że lektyka może być wygodną i lekką, że może być przewiewną, jeżeli zamiast drzewa użyje się zasłon z płótna lub jedwabiu, ale żeby była chłodzącą, to już było poprostu niemożliwem — odniosłem jednak wiernie rozkaz hrabiemu Lilium Martagon.

Staruszek wysłuchał mnie spokojnie, a na twarzy jego nie dostrzegłem ani śladu zakłopotania.

— Bardzo dobrze — odpowiedział — stanie się zadość woli Jego Królewiczowskiej mości. Ściany lektyki będą z koronek.

— Z koronek nicianych czy jedwabnych? — spytałem.

— O, nie—odrzekł — to nazbyt pospolite.

— A więc zapewne z kory drzewa *Daphne Lagetto*?

— To zaciężkie na dzień dzisiejszy; znajdziemy coś lepszego.

— Są więc inne jeszcze koronki roślinne, panie hrabio? A ja myślałem że *Daphne Lagetto* jest jedyną osobliwością w tym rodzaju.

Marszałek uśmiechnął się.

— Przyjdź za dwie godziny na dziedziniec pałacowy, młodzieńcze — powiedział — a będziesz mógł przypatrzeć się robocie lektyki. Ja tymczasem przygotowuję rysunek i zawezwę artystów. Ale, ale — wołał, zatrzymując mnie już odchodzącego — czy nie chciałbyś czasem zrzucić swojego incognito na dzisiejszą uroczystość i jechać w gronie postów, bo całe ciało dyplomatyczne

otrzymało zaproszenia? Przypominam ci, że masz do tego prawo!

— Nie, panie hrabio — odpowiedziałem. — Rola posła krępowałaby mnie, bo musiałbym odpowiednią do niej zachować powagę, a ja chciałbym wszędzie być i wszystko widzieć. Posłowi nie wypada się tak szastać.

— Niech i tak będzie. Pamiętajże, iż paziowie przywdziewają dziś strój galowy, oraz klejnoty ze żmijowca i storczyków.

Znowu ten żmijowiec! Ależ zobaczę nareszcie co to jest. Najciekawszy jednak byłam owej lektyki i gdy godzina oznaczona nadeszła, udałem się na dziedziniec pałacowy, gdzie artyści pracowali nad jej wykończeniem. To co ujrzałem, przeszło wszystko co spodziewałem się zobaczyć; nadzwyczajna prostota bowiem i niewyszukaność środków, złożyły się tu na całość artystycznie piękną. Szkielet lektyki zrobiony był z młodziutkich świerków, okrzęsanych z gałęzi, ale nieodartych z kory, dla zachowania im naturalnego koloru drzewa — a na tym szkielecie rozpięta była bardzo rzadka, bardzo cienka, ledwie widoczna siatka z białego drutu. Na



Trawa pampasowa, *Gyncrium argenteum*.

tej siatce artyści rozpinali liście wielce osobliwej rośliny — liście jakich nie tylko nie widziałem nigdy jak żyję, ale nie wyobrażałem sobie nawet, że istnieją na świecie. Wielkie, podługne, miały nerwy idące wzdłuż równolegle, a oprócz tego okryte były poprzeciecznymi żyłkami, tworzącymi gęstą kratkę. Co zaś mnie najwięcej dziwiło, to że oczka tej kratki były próżne. Tym sposobem całe te liście utworzone z przezroczystej siatki, niesłychanie delikatnej i regularnej, wyglądały jak najpiękniejszy tiul lub koronka. Marszałek dworu przyglądał się robocie, dorzucając od czasu do czasu jakąś wskazówkę. Zobaczywszy mnie, skinął mi głową przyjaźnie.

— Jakże ci się podoba młodzieńcze, nasza nowa koronka roślinna? — zapytał.

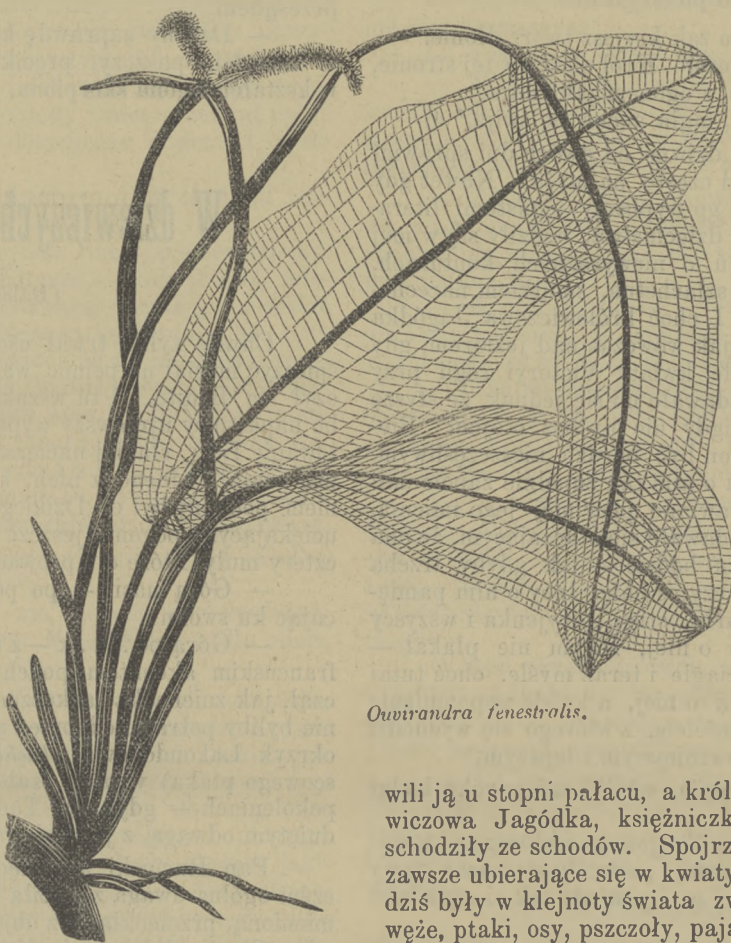
— Podziwiam jej piękność, panie hrabio — odrzekłem — ale więcej jeszcze zdumiony jestem dziwną budową tkanki liściowej. Co to za szczególna roślina?

— Ojczyzną jej są bagna na Madagaskarze wyspie afrykańskiej — odpowiedział — a my ją tu hodujemy na jednym z tarasów geograficznych, w bagnistym, umyślnie dla niej urządzonym jeziorze: zowie się *Ouvirandra fenestralis*. Oprócz piękności posiada ona jeszcze inne zalety: jest rośliną pożyteczną, bo korzeń jej jest jadalny i zawiera własności pożywne. Należy do rodziny trawowatych.

„Są rzeczy o których się nie śniło filozofom,” a cóż dopiero takim jak ja biednym chłopcom, pomyślałem i przypatrywałem się w milczeniu, jak artyści cienkimi szpileczkami z drutu rozpinali te liście na ścianach lektyki. Sklepienie wznoszące się kopulasto, pokryte było palmowymi liśćmi, a na samym środku wieńczyła je królewska korona, mająca zupełnie pozór złotej, bo zrobiona była z dwóch znanych mi gatunków żółtych lilij: *bulbosus*, *Lilium bulbosum* i *Korony cesarskiej*, *Petilium imperiale* obie bowiem hodowano w kłombie, w Dębowej Woli. Róże szkarłatne i białe obejmujące dolną część korony, naśladowały w niej perły i rubiny. Na rogach owego sklepienia czy baldachimu, bo niewiem jak go właściwiej nazwać, przymocowane były wspinające pióropusze srebrzyste i bladoróżowe, z owiej amerykańskiej trawy pampasowej *Gynierium argenteum*, o której już wspominałem opisując mundur gwardyi. Kity utworzone z tych pióropuszków, stały do góry, a bujne liście tych traw, niby wąskie srebrzyste wstążki, spadały na dół. Około drzwi i okien lektyki, utworzono ornamenta z ciemnego leśnego bluszczu, a po obu stronach przymocowano cyfry książecznej i królewiczowej, z pierwiosnków i jagód czerwonych. Lektyka była dość obszerna, mogąca pomieścić trzy a nawet cztery osoby wygodnie. Spód tworzyła krata z prętów żelaznych, pokryta kobiercem z puszystego zielonego mchu, z którym mógł iść o lepsze najpiękniejszy aksamit. Umieszczone wewnątrz siedzenia, zrobione były ze złoczonej trzciny i przymocowane do podłogi. Lektyka ta była prawdziwym arcydziełem prostoty, smaku i wytworności, arcydziełem budzącem żal, że te wszystkie ozdoby za kilka godzin

pójdą w niwecz, bo te liście i te kwiaty muszą zwiędnąć, zwłaszcza w taki dzień upalny.

Wyjawiłem moją myśl marszałkowi, a on podniósł zlekka jeden z liści palmowych okrywających sklepienie i ukrył tam bardzo misterny przyrząd: naczynie z wodą, od którego rurka gutaperkowa przeprowadzona w otwór królewskiej korony, spełniała rolę fontanny o czterech odnogach; woda spadała z niej na wszystkie boki w kształcie mgły rozpylonej i osiadała na ścianach lektyki drobną, zaledwie widzialną brylantową rosą. Co za pomysł! jaka wynalazczość! Dzięki temu ochładzającemu przyrządowi, dostojne osoby podczas całej podróży, nie uczuły nawet gorąca. Marszałek dworu ściśle wykonał rozkaz Zielenki: lektyka była lekką i chłodzącą.



Ouvirandra fenestralis.

Godzina wyjazdu nadchodziła: na dziedzińcu zaczął się ustawiać orszak w takim porządku, w jakim miał wyruszyć do Koralowego grodu; widziałem że chciało mu jak najwięcej wspaniałości. Pobiegłem do siebie, żeby przywdziać galowy ubiór przepisany na ten dzień. Formą nie różnił się od codziennego; materiały też był ten sam, z włókien azyatyckich pokrzyw, tylko barwa była biała, przerabiana srebrem, co czyniło go podobnym do srebrnej lamy. Paziowie królewiczowej mieli ubranie zielone przerabiane złotem, a paziowie książecznej Primuli, różowe. Wszyscy mieliśmy ozdoby z róż i pierwiosnków, oraz wielkie łańcuchy naszyte z jakichś dziwacznych kwiatów ciemno-lila, wykonane robotą jubilerską.

Wchodziłem na dziedzińiec w chwili, gdy słudzy mający nieść lektykę postawili ją u stopni pałacu, a królewicz, księżna Primula, królewiczowa Jagódka, księżniczka Gori i wielka ochmistrzyni, schodziły ze schodów. Spojrzawszy na to grono, zdumiałem: zawsze ubierające się w kwiaty, dostojne te osoby postrojone dziś były w klejnoty świata zwierzęcego, w jakieś dziwaczne węże, ptaki, osy, pszczoły, pająki i motyle, a wszystko o świetnych, wspaniałych barwach; niektóre z tych ptaków i owadów musiały być chyba żywe, bo za poruszeniem się osób zdawały się ruszać także. Złudzenie było tak wielkie, że gdybym nie pamiętał o wczorajszej umowie królewicza z księżną, nie byłbym wierzył że to są kwiaty.

Słudzy czerwono ubrani wzięli drągi lektyki na ramiona, a przy nich stanęło czterech innych z olbrzymimi wachlarzami, do wzruszenia a więc do chłodzenia powietrza. Dwa wachlarze sporządzone były z kilku liści *Rącznika*, *Ricinus*, a dwa z liści *Rabarbaru*. Obie te nazwy, znane mi tylko z przykrych lekarstw, tak ważne tutaj grały rolę! Damy dworskie siadały do lektyk płótnem niewarowem, ozdobnie wyszywanem osłoniętymi, i pochód wyruszył.

Naprzód jechał kurier królewski z olbrzymim bukietem róż białych w rękę; za nim oddział gwardyi pod komendą Astragalusa. Dalej na białym koniu sam królewicz, mając po jednej stronie jenerała Papavera a po drugiej Ortodoxusa. Za nimi jechało czterech paziów, a w ich liczbie Albatros i ja na moim Farysie. Za nami dopiero niesiono lektykę królewską, jechało sześciu paziów i niesiono inne lektyki z damami dworu. Za lektykami jechało konno kilkunastu dworzan, a zamykał znowu orszak oddział gwardyi. Kto nie widział na własne oczy tego pochodu, ten o oryginalnej wspa-

niałości jego i malowniczości, nie może mieć nawet pojęcia. Wyglądało to jak senne marzenie, jak obraz z czarodziejskiej baśni. Mundury gwardyi sprawiały złudzenie, że to las drzew się posuwa, a srebrne pióropusze na hełmach chwiejąc się za każdym poruszeniem żołnierzy, błyszczały w słońcu niby osobliwe kwiaty tych drzew fantastycznych. Królewicz w białej jak nasze, srebrem przerabianej szacie, w białej czapce królewską ozdobionej koroną, w zielonym płaszczu posianym dziwnymi storczykami, niby owadami, przypominał mi znowu ową balladę Göthego o królu olch, którą niegdyś tak często śpiewała mi moja matczka:

„Kto jedzie tak późno wśród nocnej zamieci?
To ojciec z dziećciem jak gdyby wiatr leci,
Chłopczynę na rękę piastując najczulej,
Ogrzewa oddechem, do piersi go tuli.

— Mój synu dla czego tak kryjesz twarz dłonie?
— Czy widzisz mój ojciec? Król olszyn w tej stronie,
Król olszyn w koronie, z ogonem jak żmija,
— To tylko mój synu, mgła nocna się zwija.”¹⁾

Mój ojciec... ten wyraz dziwne od dwóch dni sprawiał na mnie wrażenie i stawał mi często na myśli. Nawet gdy oczy przymknąłem, widziałem go wypisany ognistymi literami. Zamglone wspomnienia z dzieciństwa, budziły się w mej duszy, a z tej mgły, niby cień o niewyraźnych konturach, wynurzała się postać wysoka, szlachetna, smutkiem nacechowana — cień mego ojca... I choć królewiczowa Jagódka nie stała za mną w tej chwili, jak wówczas nad jeziorem, gdy wpatrywałem się we wspaniałe kwiaty Victoryi regii przy blasku elektrycznego słońca, zdawało mi się jednak, że słyszę jej głos: — A ojciec! czyż nigdy nie myślisz o ojcu? Biedny, biedny ojciec... musiał on być bardzo nieszcześliwym. Jakże złym jestem synem, że o nim tak zupełnie zapomniałem! Dopóki żyła matka, nie wymawiano przy niej jego imienia, przez wzgląd na jej zdrowie; zdawało się otaczającym, że ona przez to mniej tęsknić za nim będzie — jak gdyby trzeba koniecznie słyszeć powtarzane czyjeś imię, żeby o nim pamiętać... A potem gdy ona umarła, stryj, stryjenka i wszyscy strzegli się przy mnie mówić o niej, żebym nie płakał — a jednak ja myślałem o niej ciągle i teraz myślę, choć tutaj nikt jej nie znał i nie mówi mi o niej, a każde wspomnienie jest dla mnie jakby pobyt w kościele, z którego się wychodzi więcej skupionym w sobie, poważniejszym i lepszym.

Albatros jadący obok mnie, włożył mi w rękę kwiat jakiś i szepnął:

— Rozpytałem się o tego *Żmijowca*, o którego ci wczoraj tak chodziło, a w który dzisiaj postroiły się nasze damy i my mamy łańcuchy. Obejrzyj go i powiedz jak ci się zdaje: do jakiej też należy rodziny.



Żmijowiec.

Spojrzałem na koronę pięknego fioletowego koloru i wydało mi się że to jest coś znajomego.

— Pewnie do wargowych — odrzekłem — bo przypomina otwartą paszczę.

— Otóż nie.

Przełożyłem uzdeczkę z lewej ręki do prawej i oderwawszy jeden kwiatek zobaczyłem w głębi kielicha żądane cztery ziarneczka. Wprawdzie liście tej rośliny nie były naprzeciwległe, ale widziałem pięć pręcików wychodzących z korony i długi słupek widłowaty — wreszcie kwiatki umieszczone były w kątach, to jest w miejscach z kąd liść wyrasta, na łodyżkach zakręcających się na końcu.

— Nie mam przyjemności znać rodziny tej szanownej roślinki — odpowiedziałem — ale to widzę, że ma w sobie coś węzowego.

— A tak, tak — pochwylił Albatros — widzisz tu żądlą do dwóch wydłużonych ostrzach. Niegdyś mniemano podobno, że Pan Bóg umyślnie znak taki na tej roślinie położył, żeby ludzie wiedzieli, od czego może być pomocną.

— Niby od ukąszenia żmii...

— Właśnie. Takich zabobonów bywało dawniej bardzo dużo. Żółta marchew miała być pomocną na żółtaczkę, a rośliny o czworobocznych łodygach, na febrę powracającą co cztery dni; pewna znów roślina, bliska krewna żmijowca, która zachowała nazwisko *Plucnika*, *Pulmonaria officinalis*, posiadała niemałą sławę jako środek przeciwko cierpieniom piersi, ponieważ liście jej są nakrapiane białą, jak wedle mniemania ludzi, wyglądać mają płuca chore.

Pomyślałem, że to mniemanie ludu musiało być na dowiadczczeniu oparte i że nie należało może nazywać go przesadą.

— Dziwny zaprawdę kwiat — powiedziałem — korona w kształcie paszczy, pręcik w kształcie żądła, a gałązki w kształcie ogona skorpiona.

(d. c. n.)

W dziewiczych lasach Ameryki.

(Dalszy ciąg).

Chwilę tylko trwał uścisk ojca i córki. Pan Ruciński śpieszyć musiał na pomoc walczącym, do których już przyłączył się Benito. I tu wszakże walka miała się ku końcowi, bo napastnicy ujrawszy wypadającego z czołna wodza i uratowanie Luci, słabiej nacierać zaczęli, aż wreszcie gdy Tadeusz zranił jednego z nich, który wysokim wzrostem i ubraniem podobny był do Dzikiego-Kota, uszli z pola walki. Za uciekającymi pogonili jeszcze Tadeusz z Panfilem i odbili im cztery muły, które ci uprowadzali z sobą.

— Górą nasi! — po polsku wykrzyknął Tadeusz, wracając ku swoim.

— Górą po...la..k — z zabawnym, pół-hiszańskim, pół-francuskim akcentem podchwycił Józio i opowiadać ojcu zaczął, jak znienacka zaskoczeni mulnicy i Indyanie — służący, nie byliby potrafili odeprzeć napaści, tembardziej, że wojenny okrzyk Lakondonów: „*chacholaka*” (naśladowanie głosu miejscowego ptaka) wznieca zabobonną prawie trwogę w innych pokoleniach — gdyby p. Tadeusz nie był dodał ducha napadniętym odwagą, z jaką się rzucił ku obronie.

Pan Ruciński z wdzięcznością uściśnął młodzieńca, poczem ogólna uwaga zwróciła się na Lucię, potarganą, zarumienioną, przemokłą, i z objęć Juany przechodzącą w uścisk miss Oliwii, daleko więcej wzruszonej przygodą uczennicy, niż to okazać chciała.

— Skąd ci przyszła szczęśliwa myśl zawołania na Morila? — pytał p. Ruciński.

— On sam mi ją nasunął. Ojciec płynął już wtedy i widzieć nie mógł, że Moril przybiegł na brzeg... Stał i patrzył pytająco: to na ojca i Benita, to na czołno... Zawołałam na niego i... Poczciwy pies! — dokończyła Lucia, a raczej dokończyć chciała, bo Moril, słysząc, że o nim mowa, wspiął się obydwoma łapami na jej ramiona i z takim zapalem począł ją lizać po twarzy, że Lucia, broniąc mu się i pieszcząc go razem, ani słowa przemówić nie mogła.

Gdy się wreszcie uspokojono po doznanych wrażeniach, trzeba się było naradzić, co zrobić z pozostawionym przez Lakondonów jeńcem. Postrzelony w ramię, przyszedł on już do przytomności i ponurym wzrokiem wodził po twarzach otaczających, nie skarżąc się, ani jęcząc, choć krew z rany płynęła obficie.

Ludzkość nakazywała go opatrzyć, czego naturalnie podjęła się Juana; Benito i Panfil pomagali jej przy tej czynności, ale jakże się zdziwił p. Ruciński gdy Benito, usunawszy suty naszyjnik z purpurowych nasion, zdobiący pierś ranego, wydał okrzyk radości.

¹⁾ Przekład Syrokomi.

— Co to? z czego się tak ucieszyłeś, Benito? — spytał Józio, obecny opatrunkowi.

— Syn Dzikiego-Kota jest w mocy ludzi białych! — z tryumfującą miną odpowiedział Benito.

W samą rzecz była to ważna wiadomość. Przypuszczać należało iż po śmierci Dzikiego-Kota, który, jak się zdawało, znalazł śmierć w nurtach rzeki, wodzem Lakondonów jest ranny młodzieniec, i że prędzej, czy później, upomną się o niego wojownicy jego pokolenia, których zachowanie się względem podróżnych zależnem będzie zapewne od usposobienia jęńca względem Błdych-twarzy.

Polityka więc nakazywała zjednać go sobie, ale i bez oglądania się na nią, byłaby to zrobiła Lucia. Przywykła opiekować się chorymi w posiadłości ojcowskiej, roztoczyła i tutaj swoją opiekę nad rannym i zmęczonemu opatrunkiem przyniosła soczystego owocu dla orzeźwienia, rozpostarła nad noszami, w których go umieszczono, rodzaj parasola z olbrzymich liści palmowych, śpiewała mu czystym, jak dzwonek głosikiem stare melodye indyjskie, i dokazała tego, czego zapewne nie byłby dokazał nikt inny: młody jeniec przerwał uparte milczenie, jakie zachowywał dotychczas i odezwał się do idącej przy noszach jego Luci:

— Złoty-Motyl litościwie ma serce. Dobrze czynił Dzi-ki-Kot, że chciał ją za bóstwo dać plemieniu.

— Jak to? za bóstwo? — spytała Lucia, nie rozumiejąc.

— Bóstwo plemienia Lakondonów, — mówił dalej młodzieniec — wełnista owca biała porwaną została przez dzikie zwierzę, zanim przybiedz zdołaliśmy na jej obronę; nie było więc komu składać ofiar codziennych i cześć oddawać poranną. Słyszał już Dzi-ki-Kot, że u Błdych-twarzy jest Złoty-Motyl z kosami jak słońce, umyślił więc z niej bóstwo nasze uczynić i dla tego zastąpiliśmy w puszczy drogę ludziom naszym. Ale Złoty-Motyl uszedł rąk Dzikiego-Kota i plemię Lakondonów innego bóstwa szukać musi, bo nie przystoi dwakroć kusić się o zdobycie tego, czemu składać ma plemię ofiary.

— Więc już teraz niema obawy, abym porwaną została? — spytała Lucia.

— Nie — odparł ranny — nie sądzono nam snać było mieć Złotego-Motyła, skoro dwóch wojowników padło ofiarą przy porwaniu.

Benito, który teraz właśnie przyłączył się do rozmawiających, wytłómaczył Luci, czego w słowach młodzieńca nie rozumiała. Oprócz bóstw od wieków czczonych, takich jak *Huiclopochtli*, bóg wojny, *Kwekalhoalta*, bóg wiedzy, powietrza i światła, którym składają Indianie uroczyste, doroczne ofiary, w tajemnicy przed Europejczykami spełniane, obierają oni sobie jeszcze za bóstwo do codziennego użytku służące jakikolwiek przedmiot, który niezwykłą powierzchownością zwróci na siebie ich uwagę. Bywa niemi najczęściej zwierzę jakie z Europy przywiezione, szczególnie gdy białej jest maści; nierzadko porywają w tym celu dzieci lub dziewczęta, którym nie robią nic złego, zadawałniając się składaniem im ofiar ze wszystkiego, co plemię posiada i wydawaniem co rano na ich cześć rytmicznych krzyków do śpiewu podobnych.

Benito, który sam w młodzieńczych latach był poganim, nie zbyt chętnie opowiadał Luci powyższe szczegóły, z których wszakże wynikała pouczająca pewność, że drugi raz kusić się nie będą Lakondonowie o porwanie dziewczęcia: bóstwo bowiem powinno być zdobyte bez krwi rozlewu.

— Cóż zrobimy z tém dziakiem-kocięciem? spytał wreszcie pewnego dnia Benito p. Walerego, gdy się zbliżano do porębu, w którym nocleg wypadał. — Oddać go w ręce drwali, którymi może jego plemię pozostaje w nieprzyjaznych stosunkach, to znaczy narazić się na napaść Lakondonów? prowadzić go dalej z sobą? gdzie i poco?...

Benito namyślał się chwilę, potem rzekł tajemniczo:

— Złoty-Motyl poradzi najlepiej.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — żywo spytał p. Walery.

— E, „Nina” nasza potrafi wszystkiego się dowiedzieć od młodzieńca. Niechaj z nim pomówi, a dowiemy się, jak zrobić trzeba.

Przywołano więc Lucię i p. Walery polecił jej wybadać jęńca, co by chciał, aby z nim uczyniono.

— Ależ ja to wiem oddawna! — żywo zawołała Lucia — dziś właśnie na dwie godziny przed zachodem słońca miałam o tém mówić z ojcem. Szare-Wilczę...

— To wiesz już, jak się nazywa?

— A jakże! Otóż Szare-Wilczę prosi, żeby na godzinę przed zachodem słońca pozwolił mu wydać wojenny okrzyk Lakondonów, a powtórzywszy tenże trzykrotnie, złożyć go u stóp drzewa, które on sam wskaże.

— Któż nam zaręcza, że okrzykiem tym nie sgrowadzi na nas napaści?

— Gdyby Lakondonowie mieli nas napaść, byłiby to już dawno uczynili.

— Jakim sposobem?

— Bo od chwili pojmania Szarego-Wilczęcia nieustannie nam towarzyszą.

— I ty wiedziałaś o tem, Luciu?

— Wiedziałam, ale nie było obawy, aby nam co złego zrobili, bo Szare-Wilczę dało mi połowę swego naszyjnika z nasion, a drugą połowę kazało mi rzucić w gęstwinę, którąśmy przebywali na znak, że nietykalnymi być mamy.

— Zawarłaś więc na własną rękę przymierze pokojowe z Lakondonami? — mówił, uśmiechając się p. Walery, zadowolony z samodzielności i odwagi, których dowody dała jego jedynaczka.

— A tak, ojczulku — tryumfującą odparła Lucia — wszakże mówiłeś, że polityka pojednawcza jest najlepszą? Zostawiasz mi swobodę działania?

— Jak najzupełniejszą! — z uczuciem dumy ojcowskiej odpowiedział ojciec, przyciskając do piersi złotą główkę Luci, która z radością pobiegła do Szarego-Wilczęcia powtórzyć mu, co o losie jego postanowiono.

Na godzinę przed zachodem zaledwie widzialną w lesie drożyną posuwał się orszak podróżnych uszykowany tak, aby w razie napaści być na jej odparcie przygotowanym. Lucia jechała tuż obok noszów Szarego-Wilczęcia, który leżał nieruchomo, z właściwym Indianom spokojem rysów twarzy.

Wśród przerzedzonych trochę w tem miejscu drzew i zarośli, ukazało się na uboczu stojące olbrzymie drzewo palmowe, na korze którego widać było świeże nacięcie, nieco rebusy nasze przypominające.

— To tu — szepnął Szare-Wilczę. I z ust jego dał się słyszeć po trzykroć wojenny okrzyk „*chachalaka! chachalaka!*” któremu z przodu, z tyłu, na prawo, na lewo, tuż przy ziemi i w gęstwinie gdzieś w górze, echem takiż sam okrzyk odpowiedział.

P. Walery i p. Tadeusz porozumieli się spojrzeniem, Benito i Panfil broń ujęli w pogotowiu, ale Szare-Wilczę, gdy go zdjęto z noszów i położono na ziemi u stóp palmowego drzewa, silnym i szczerym rzekł głosem:

— Plemię Lakondonów nie żywi nieprzyjaźni do Błdych-twarzy. Złoty Motyl jest stróżem swego plemienia, słońce ma w kosach, a litość w sercu...

Lucia skinęła mu na pożegnanie główką, a gdy ostatnie już muły mijały samotnie leżące młodzieńca, ze szczytu palmowego drzewa spadł na muła Luci ogromny pęk świetnej barwy piór. Były to pióra *quetzal’a*, królewskiego ptaka, w którego pióra stroić się mieli prawie królowie pierwobyłców Ameryki.

Takie było pożegnanie Szarego-Wilczęcia ze Złotym-Motyłem!

(d. c. n.)

ROZMAITOŚCI.

Domy z cukru. — Ciekawość indyków. — Wędrowni motyli i mrówek.

Niejedną zapewne z młodszych naszych czytelników, tych zwłaszcza co lubią słodocze — marzył sobie nieraz,

jakbyto dobrze było, gdyby domy budowano z podobnych przysmaków, bo w każdej chwili możnaby ułamać i zjeść kawałek ściany. Marzenie to niedościgłe na pozór, spełnia się do pewnego stopnia na drugiej półkuli świata. Jeden z najzamożniejszych fabrykantów cukru w Stanach Zjednoczonych, zamieszkały w Waszyngtonie, wykupił w tych czasach patent na wyrób cukru, który przy budowie gmachów i pomników, zastąpić ma biały marmur. Przemysłowcowi temu udało się podobno wyrabiać cukier o wiele twardszy i bielszy od najlepszego marmuru, a odporność nowego ciała na wpływy atmosferyczne ma być większą, niż w jakimkolwiek bądź ze znanych dotąd materiałów budowlanych. Wynalazca zamierza na własny koszt z nowego materiału wznieść budynek obok Białego domu w Waszyngtonie. „Białym domem” nazywa się pałac prezydenta.

Ciekawość indyków jest rzeczą znaną, a niedawno oddała niemałą usługę. Kardynał arcybiskup Ołomuńca, hr. Fürstenberg, podczas przechadzki w okolicach zamku swego, zgubił swój pierścień biskupi. Arcybiskup na razie nie spostrzegł zguby, zauważył ją dopiero później i wnet zarządził jak najściślej poszukiwania, ale okazały się one daremne. Przetrażnięto wszystkie pokoje, lecz napróżno. W kilka dni później, zauważono szczególne zachowanie się indyków domowych. Zbierały się one codziennie na pewnym punkcie przeznaczonego dla nich trawnika, i z trudnością pozwalały się ztamtąd odpędzać. Stały kołem, wpatrzzone w ziemię, nawołując się głośno wzajemnie. W końcu jeden z lokajów arcybiskupa zauważył także te sejmy indycze, a zaciekawiony wsunął się między skrzydlate grono i odkrył na trawie iskrzący się pierścień, który budził takie zajęcie w indykach. Arcybiskupa bardzo rozweseliły szczęśliwe znalezienia klejnotu.

Opowiadaliśmy niedawno czytelnikom naszym o wędrówkach wiewiórek i myszy; dziś chcemy im powiedzieć, że i drobniejsze zwierzątka tak samo wędrują, gdy zmianę miejsca uważają dla siebie za korzystną. We Francji nad brzegami Loary w roku 1889, w lecie, spadł prawdziwy deszcz białych motyli. Millardy ich spadały masą całą na ziemię tak, iż mieszkańcy zamykali drzwi i okna. Deszcz ten trwał kilka minut i pokrył tak ziemię, iż wydało się, że jest przysypała grubą warstwą śniegu. W roku bieżącym motyl zwany *zakkonnicą* nawiedził Bawaryę i Niższą Austryę, o czym czytelnicy nasi wiedzą z listów Janka sieroty, który widział tego motyla na pokładzie Mewy, gdy jechał pod opieką kapitana Tamarixa do Atlanty.

W powiecie czechryńskim, w gub. kijowskiej, widziano w roku zeszłym przeciągające od granicy gubernii chersońskiej na północ, miliardy mrówek, w prawidłowo zorganizowanych kolumnach. Jedna z nich, mająca szerokości pół arszyna, długości 53, szła z szybkością 12 werszków na minutę, trzymała się ściśle prostego kierunku. Armia mrówek szła bez zatrzymywania się, zwalczając przeszkody napotykane w postaci mchów, roślin lub gałęzi, a porządek był następujący: czoło kolumny stanowiły mrówki silniejsze, nie niosące żadnego ciężaru, podczas gdy dalsze szeregi obciążone były jajkami mrówczemi, ziarnkami pokarmów, słomkami,

gałązkami i innymi materiałami używanymi do budowy gniazd mrówczych. Po przejściu mrówek włóścianie próbowali rozkopywać mrowiska w sąsiednich lasach, lecz okazało się, iż wszystkie są przez mieszkańców swych opuszczone.

ZADANIE KONIKOWE.

o	o	k	i	o	u	g	m
ę	n	z	i	k	e	p	r
ś	s	t	ł	g	e	z	o
d	p	o	ł	n	a	d	a
t	g	t	z	z	i	s	a
ć	e	d	ż	z	u	ł	w
w	a	a	n	o	d	b	t
j	a	ó	ż	ł	r	a	u

ZAGADKA.

ułożyła Ewa Marya.

Niema jęj wcale w barwach tęczy,
Mimo to, że jest w świecie jedyną;
Tutaj nam pamięć trochę zmęczy,
Bo idąc, jadąc naszą krainą,
Spotkamy w drodze takich sporo:
Miast kilka i jezioro.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 6-go.

Zagadki homonimu: Świnka.

Łamigłówki głoskowe:

1. Amalekici. 2. Upominek. 3. Głuszec. 4. Ule. 5. Synod.
6. Talar. 7. Yeddo. 8. Nurek.

Ośm tańców bardzo łatwych na fortepian dla dzieci, układu Władysławy Skibińskiej, opuszcilo prasę i jest do nabycia w księgarni Hösika w Warszawie, ulica Senatorska Nr. 496, oraz u kompozytorki w Radomiu, ulica Lubelska, dom W-jej Ko-steckiej.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

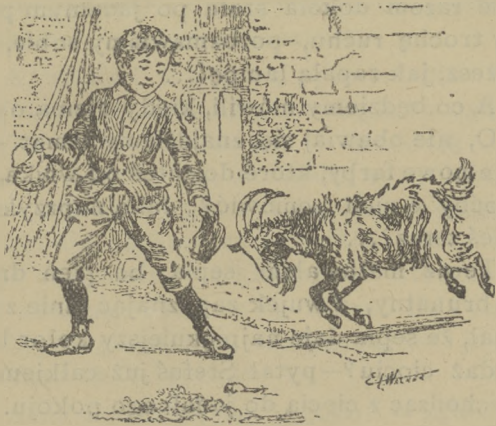
TREŚĆ: Doświadczenie fizyczne (drzew.) — Kulig. — Z wyspy Atlanty, wyczytała przez drobnowidz i przepisała Zofia Urbanowska (z drzew.) — W dziewiczych lasach Ameryki. — Rozmaitości. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Psotny Wiciuś p. A. Do (z drzew.) — Ptaszki przed stodołą, wiersz — Pogadanka z cicią p. V. Cairo. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka listów. **Dodatek książkowy:** Mała księżniczka z Tower-Hillu, przekład z angielskiego K. P.

WIECZORY RODZINNE.

PSOTNY WICUŚ.

Nie znacie Wicusia, syna Wincentowój. A to mię bardzo dziwi, bo znają go wszyscy sąsiedzi bliżsi i dalsi dla psot i figlów, które im płała nieustannie. A jeszcze żeby te psoty były tylko niewinne, tak sobie dla śmiechu, ale gdzie tam! Wicusz niejednemu szkodę zrobi i niejednego zasmuci lub rozgniewa.

Matka się stara, dba o niego, do szkoły posyła, ubiera czyściutko, porządnie, a on... myśli tylko bez ustanku, coby nowego zbroić. A pora by już tego za- przestać, bo dziewięć lat chłopiec skończył na św. Wincenty. Inny w tym wieku już rodzicom usłuży, przyda



masz capusiu coś dobrego.

się na co, mają z niego wygodę w domu; a tu tylko wieczny kłopot z niesfornym chłopakiem. Co z tego, że płacze i przeprosza jak się matka gniewa, kiedy się poprawić nie chce?

Dawnoż to, korzystając, że biedny żydek, handlujący zapałkami, zdrzemnął się trochę pod ścianą, zakradł się jak kot po cichutku i wszystkie prawie pudełka po otwierawszy, zapałki do rynsztoka wysypał. Ludzie widzieli, matka w skórę dała, albo to co pomogło...

Ani dzień nie minął, jużci wylaż na strych za praczka, a gdy zeszła na dół po drugi kosz z bielizną, wyjął z kieszeni przygotowaną już paczkę z popiołem i biegnąc wzdłuż sznura dmuchał popiół na rozwieszoną bieliznę. Potem, myk do izby — niby niewiniątko. Praczka wraca na strych, cała robota na nic. Żeby już na prawdę taki był zły — ale gdzie tam! Jak co zbroi to potem mu żal, radhy złe naprawić, ale już po niewczasie.

Opowiem wam ostatnią jego psotę i to, co go potem spotkało.

— Wicusz, skocz-no po wodę — rzekła do niego jednego razu matka, — takem się dziś nachodziła, że nóg nie czuję. Ojciec przyjdzie na południe trzeba choć krupniku ugotować.

— Duchem leczę matko!

— Tylko mi dzbanka nie zbij! Dopierom go wczoraj kupiła; tamten stary już do reszty rozgruchotał; miejże upamiętanie!

— Cobym miał zbić!

I wyśpiewując wesoło, Wicusz wyleciał z domu jak z procy. Na szczęście, przy samej studni, spotkał starą Janową, uklonił się jej pięknie.

— Pani Janowa po wodę? Może co pomódz?

— Ho! ho! Ktoś Wicusia odmienił? Cóż to taki grzeczny — naści za to tabaczki.

Janowa mówiła to tak sobie żartami, podając mu wyjętą z kieszeni ogromną tabakierkę. Ale Wicusz nie żartem przyjął poczęstunek: zaczerpnął we trzy palce co się dało, zawiął do papierka, myśląc zaraz, że taba-



uderzając z całej siły porwał go na rogi.

ka przyda mu się na jaką psotę. I nabrawszy wody w dzbanek, wraca do domu.

Ale przechodzi koło ładnego pałacyku z ogrodem, gdzie mieszka jedna bogata pani, mająca troje dzieci, które bardzo pieściła. Sprawiała im wózek i dwa do zaprzęgu koziołki; dzieci sobie codziennie tym wózkiem po ogrodzie jeżdżą.

Trzeba wypadku, że w chwili kiedy Wicusz z wodą do domu wracał, jeden koziołek wybiegł ze stajni na ulicę. Piękna myśl, jak błyskawica strzeliła Wicuszowi przez głowę: wysypuje tabakę do czapeczki, a zbliżając się do kozła, powiada:

— Masz, capusiu, niosę coś dobrego...

Koziołek zdrady nie przeczuwając, przyzwyczajony, że go często znajome dzieci chlebem z wodą karmiły, wsadził z całym zaufaniem pyszczek do nadstawionej czapki... i nos w tabace umaczał!

Wiecie zapewne, że kozły do zbyt łagodnych i cierpliwych zwierząt nie należą... Jak też mój Fifus (tak się nazywał) kichnie, jak wyskoczy do góry! Wickowi aż łzy w oczach stanęły ze śmiechu. Ale krótko trwała radość: nim się opamiętał, już rozgniewane zwierzę, spuściwszy łeb ku ziemi, uderzając z całej siły, porwało go na rogi i wyrzuciło wysoko. Biedny chłopak spada-

jąc, potłukł się bardzo, płakał, ale już nie z wesołości, tylko z bólu. Gorzej jeszcze wyszedł dzbanek na tej nadpowietrznej podróży — rozłukł się na czterdzieści co najmniej kawałków.

— Ach Boże! co matusia powie... Jak ja się w domu pokażę! O święty Janie Kanty, mógłbyś ulitować się nademną! Tobie cud łatwo zrobić, ach, napraw mi dzbanek! O święty Janie Kanty!

— Choćby tu jeszcze po świecie chodził, toby dla ciebie, wisusie, cudu nie zrobił! — rzekła Janowa, słysząc te lamenta.

— A matka tam biedna na wodę czeka!

— No — za to żeś mnie pozdrowił grzecznie, żeś mi dziś żadnej psoty nie spłatał, wstąpię po drodze do matki i wody jej z mojej konewki uleję, ale za szkodę to ci się dobra kara należy.

I kara była, matka wytrzepała Wicka porządnie, on się znów spłakał, po rękach ją całował; a że mu przyszedł ból niemało dokuczał, więc może się namyśli i poprawi.

A. Do...

PTASZKI PRZED STODOŁĄ.

Śnieżna i mroźna nadeszła zima —
Dla ptasząt w polu i zdziebła niema;
Ale w stodole, w zimowej porze,
Ludzie cepami młócą wciąż zboże.
Za bramę pada niejedno ziarno —
Ptaszki do niego chciwie się garną.

Młockarze zboże już wymłócili,
I wiele worków niem napełnili.
W lecie Bóg dobry zesłał plon z nieba,
Żeby nikomu nie brakło chleba.
Niech więc i człowiek o tem pamięta,
By nie cierpiał głodu ptaszęta...

POGADANKA Z CIOCIĄ.

— Stefciu, nie psuj oczu, moje dziecko! — mówiła siedmastoletnia ciocia Zosia do małego swego siostrzeńca, skoro wszedłszy do jego pokoju zastała go siedzącego pod oknem, i jak jej się zdawało, pochylonego nad książką. — Ciocia Zosia rozumną była panią, ale dumną troszkę ze swęj powagi, i korzystała z przywilejów młodej cioteczki, wtrącając jak najczęściej w rozmowie ze Stefciem wyrazy „moje dziecko”.

— Już jest prawie ciemno — mówiła dalej — i szkoda męczyć wzrok. Chyba, że chcesz niedługo nosić okulary tak jak dziadunio, a wątpię, czy byłoby ci w nich do twarzy! — dodała ze śmiechem, porządkując rozrzuconą na stoliku robotkę — proszę natychmiast składać książkę!...

— Ależ cioteczko, kiedy ja nie czytam wcale...

— Jakto nie czytasz? E, znamy się na, tem panie Stefanie. — Czybyś pochylił się tak gorliwie nad czém

inném, jeżeli nie nad dodatkiem do Wieczorów Rodzinnych.

— A właśnie, że ciocia nie zgadła. — Dzisiejszy dodatek przeczytałem już oddawna, a teraz maluję — i nie skończę, aż dopóki...

— Aż dopóki ci ciocia nie odbierze... Już ja to widzę!... dokończyła panią, zmierzając ku niemu!

— Nie, nie, moja złota cioteczko! Jeszcze widzę doskonale — bronił się chłopczyk. — Już tylko dokończę ten obrazek... to jedno drzewko!...

Ale nieubłagana cioteczka nie chciała słuchać. — Odebrała książkę z obrazkami i, pocałowawszy jasną główkę siostrzeńca, rzekła poważnie:

— Nie, moje dziecko! zanadto cię kocham, żeby pozwolić na to, co robisz ze szkodą dla siebie samego.

— I ciekawym, co będę robił? — odparł, płucząc pędzelki, trochę nadąsany.

— Teraz jest szara godzina, więc kto się w dzień napracował, może popróbnować trochę, a jeżeli zawsze kochasz twą ciocię równie gorąco, może zechcesz z nią pochodzić razem dokoła stołu po jadalnym pokoju. — Użyjemy trochę ruchu, porozmawiamy sobie, i ani się spostrzeżesz, jak zapalą lampę!...

— A co będziemy mówili, kiedy niema o czem?...

— O, nie obawiaj się, znajdziemy temat. — Lubisz tak swoje nowe farby, które dostałeś od wujka, możemy więc choćby o nich pomówić? Jaką naprzykład farbą malowałeś teraz?...

— Teraz malowałem sepią, bo pień drzewa jest przecież brunatny, a wujek zapoznając mnie z kolorami powiedział, że sepia daje najpiękniejszy kolor brunatny. Nieprawdaż ciociu? — pytał Stefuś już całkiem udobruchany, wchodząc z ciocią do jadalnego pokoju.

— I miał rację. A powiedz teraz, czy wiesz skąd się bierze sepia?...

— Skąd się bierze? No... jakto ciociu? Stąd co wszystkie farby zapewne. Czy ja wiem zresztą! — dodał z wahaniem.

— Nie wiesz? Więc posłuchaj. Jest to bardzo ciekawe i ani się spodziewasz, co usłyszysz. Otóż prawdziwej sepii dostarcza nam pewien rodzaj mięczaków, jakim jest mętwa, zwana sepią.

— Rodzaj mięczaków! — wykrzyknął zdziwiony chłopczyk, który znał już tę nazwę z treściwej zoologii jaką przechodził z ciocią.

— Nieinaczéj. — Jest to wyższy, doskonalszy gatunek mięczaków *głównogów*, żyjący w wodzie morskiej. — Głównogami są zwane dla szczególnej budowy swego ciała — z jednej bowiem strony głowy wyrastają im liczne ramiona, przy pomocy których zwierzę porusza się po dnie morskiem. — Ramion takich jest ośm do dziesięciu i są one ku końcowi coraz cieńsze; na powierzchni zaś rozsiane są smoczki i haczyki, służące do chwytania zdobyczy. — Pyszczyk jest zaopatrzony w silny dzióbek, a głowa, oddzielona od kadłuba szyją, posiada silne pletwy, zastępujące wybornie ster żeglarski. — Mątwy niezmiernie szybko poruszają się w wodzie i z rybami mogą iść o pośpiech w zawody. — Ramiona mogą stulać, jak się zamyka parasol, i tym sposobem poruszają się z łatwością na przód i w tył...

— A cóż o farbie, cioteczko? — zagadnął niecierpliwy Stefcio.

— Zaraz się dowiesz. Cierpliwości!... Otóż w płycaniu bardzo im dopomaga woda, którą wytryskują lejkiem, umieszczonym w pobliżu skrzeli, a w razie niebezpieczeństwa, chcąc się ukryć przed napastnikami, wraz z tą wodą wypuszczają z woreczka umieszczonego wewnątrz, płyn brunatno-czarny, zwany sepią. — Płyn ten zamąca wodę i skrywa zwierzątko, ułatwiającą mu ucieczkę.

— Mój Boże! Jak to dowcipnie urządzone! — przerwał zachwycony chłopczyk. — No, ale ciociu, w jaki to sposób łapią takie zwierzątka i zabierają im ten płyn ludzkie?...

— Już ja tego nie widziałam, mój drogi. Wiem tylko, że są przyrządy i siatki, i nie musi to ostatecznie być niemożliwym, jeżeli łowią je i to w wielkiej ilości, a z wyjętych pęcherzyków otrzymują ten piękny brunatny kolor, którym masz zamiar malować twoje drzewo.

— Już, ciociu? Proszę jeszcze co powiedzieć, to takie ciekawe! — błagał chłopczyzna.

— A widzisz! zajęło cię opowiadanie. Więc powiem ci jeszcze, że niekiedy gatunki głowonogów, jak łodzik, żeglarzek, ośmiornica i t. d. dorastają olbrzymiej wielkości. Ramiona ich dochodzą 15-tu łokci, a ciało rozmiarów beczki. Żeglarze twierdzą, że czasem ramionami obejmują one czółno rybackie, które dopiero puszczają po odrąbaniu tych kleszczy... — Ale otóż i Marysia wchodzi z lampą — możesz się zabrać do twego malowania. Nasza pogadanka skończona, bo i ja muszę się egzercytować na fortepianie.

— Ach, cioteczko, tak prędko! — zawołał Stefcio z żalem i dodał: — ale ja słyszałem, ciociu, że malować przy świetle nie można?...

— O! taki jak ty malarz, to jeszcze może z całą swobodą — roześmiała się panienska. — Kiedy jeszcze, o szarej godzinie, to opowiem ci dlaczego malarze nie malują wieczorami, i jaką rolę gra w tem światło sztuczne, jeżeli zechcesz posłuchać, a dziś już nie mogę. Dowidzenia, moje dziecko!...

To powiedziawszy, przestała całusa swemu małemu siostrzeńcowi i za chwilę perliste etudy wypłynęły z pod jej drobnych pracowitych paluszków.

V. Cairo.

Łamigłówka gwiazdkowa.
od Góralki dla Czterooczki.

Ułożyć w kształcie gwiazdki cztery wyrazy dwusylabowe z literą R w środku: 1.) Imię męskie. 2.) Nazwa herbu. 3.) Zwierzokrzew. 4.) Kraj górzysty należący do Austrii.

. . .
. . R . .
. . .
. . .

SZARADA.

Jaki to ptaszek, co gwizdże i kwili,
W napój zamienia wspan się w jednej chwili.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 5-go

Zagadki: E l b a .

Rebusików: 1-go. Wojsko namioty rozbiło.

2-go. Wilk ostrzy zęby na owce.

SPROSTOWANIE. W łamigłówce dodatku do N-ru 6-go w wierszu 6-tym zamiast: stacya kolei e. t. c. powinno być: *żeńskie imię starożytne.*

Skrzynka do listów.

Stefanka K. o więcej szarad prosimy, te, które przysłał, są zupełnie odpowiednie dla nas z wyjątkiem pierwszej. Rzecz o termometrze nie do druku.

Bardzo serdecznie pozdrawiamy nowe korespondentki **Jagódkę z pod Arkadyi i Słowika z nad Łubiany**; liściki w swoim czasie wydrukujemy. Czytając nasze Pisemko, musicie już wiedzieć, co to jest owa *kolej*, tak ogólnie nielubiona?

Winszujemy **Sarence Modrookiej** rozwiązania rebusów. Prawda, jak to przyjemnie namyślić się, zastanowić i zrozumieć, lub odgadnąć to, co się ciemnym zdawało z początku,

Postaramy się niczem nie umniejszyć „największej radości” **Jasia K. w D.** i żądany początek powieści przysłemy.

Otrzymaliśmy korespondencję **Marylki z nad Warty i Zagłoby**; ponawiamy z powodu ich prośbę, aby liściki, przeznaczone do druku, pisane były na innej ćwiartce, niż te, które są adresowane do nas. Warunek to jest konieczny i od spełnienia go zależy wydrukowanie liściku.

Powstrzymywanie ciekawości bardzo się chwali **Gwiazdce na zachodzie**. Wszak prawda, w niczem nie zmniejsza ono zajęcia, z jakim czytasz opowiadanie Janka-sieroty?

Kochany **Bystry Koniu**, hasając po łąkach (łaciny zapewne lub arytmetyki) dobrze rozwiązałeś łamigłówkę i zadanie, ale źle ułożyłeś rebus. Szarada nie jest wadliwą, ale trzeba wynaleźć coś nowego. **Poraje z Sielec** nadesłali aż kilka odrazu rozwiązań, wszystkie dobre. Zadanie arytmetyczne można było robić na dwa sposoby: odrzucając talerze stłuczone, lub biorąc je w rachubę. Naturalnie od przyjęcia tego lub owego sposobu zależy cyfra rozwiązania: 32 lub 28.

Nie mamy pretensyi do **Jaskółki z nad Wilii**, że od tak dawna nie odezwała się do nas, (zaczynaliśmy przypuszczać, że pod lodem zimuje!) skoro poświecała czas pielegnowaniu braciszka. Korespondencją z siostrzyczką bardzośmy radzi zawiązać. Kiedyż się skończy era pierwszego dziesięciolecia? Janek-sierota w samą rzezy pisywał dawniej do „Wieczorów”. W zadaniu konikowem trzeba wypełnić wszystkie kwadraty, szczególnie gdy ich tak mało.

Artystka prosi „najgrzeczniej, jak umie” — musi to być *bardzo* grzecznie. Jakżeż tu nie wysłuchać takiej prośby?

Niema w Warszawie innych pism dla dzieci, prócz tych dwóch, o które **O. Roś...** pyta. Pod tytułem „Kopciuszek” jest tylko powieść Teresy Radwigi i „Bajka czarodziejska”.

Niepotrzeba zwracać nam numeru, **Rotniczanko** kochana. Numer, o który się upominasz, posłany.

Z pieniędzy **Romci Sier.** pozostało rs. 1 kop. 70, które oddaliśmy podług przeznaczenia, dziękując za pamięć o biednych dzieciach.

„Z wyspy Atlanty” wychodzi już od tak dawna, że nie możemy przesłać **Pokrzywce Wołyńskiej** całego kompletu; zapewne po ukończeniu jej w „Wieczorach” wyjdzie ona w osobnej

odbitce. Łamigłówkę przejrzymy; udzielanie wiadomości tego rodzaju sprawia nam za wiele kłopotu.

Szarotka otrzymał żądany początek.

Jakież to szczęście, że kochany **Benjamin**ek z wielkiej radości nie spadł z huśtawki. To, że odrazu nie chciał uwierzyć siostrzyczce, dowodzi, że nie jest zarozumiałym, a więc mamy rację, nazywając go *kochanym*. Nagrodę wręczymy braciszkowi, gdy przyjdzie upomnieć się o nią.

Kochana Rózo Edenu i Margeryto! Moja siostrzyczka Kukulka! ja, jesteśmy waszemi imienniczkami i to skłoniło nas do napisania do was. Czy nie brałyście lekcji języka francuskiego od panny Luizy? i chodziłyście z nią codzień na wiosnę do Frascati? W takim razie, byłybyśmy koleżankami, gdyż panna L. nas także uczyła przez dwa lata i lubimy ją bardzo. Jeżeli chcecie dowiedzieć się szczegółów o mnie, to przeczytajcie list mój do Iskierki Lubelskiej w numerze 25 „Wieczorów”. Proszę was, odpowiedźcie na moje pytanie i donieście coś więcej o sobie. Przyjmijcie serdecznego całuska od życzliwej. *Iskierki z pod Lublina*.

Iskierkę Lubelską zapytuję, czemu mi nie odpisała?

Drogi Westalko i Cyganeczko z nad Wisły! Czyście zauważyły mój liścik w Nr. 48. Czemu Śmietanka na mój liścik w Nr. 18 drukowany nie odpisała? Donieście choć pierwsze sylaby waszego nazwiska, (wiem) że mieszkacie w Warszawie, ulicę i Nr. domu, to do was pocztą napiszemy. Ściskam was. *Chmurka Żłociста*.

Kuropatwo z Ikopetiu i Lilijko z Osławy, czy zauważyłyście mój list w Nr. 48?

Jakże sympatyczną jesteś dla mnie Cairo! Czytałam powiastki twoje w Wieczorach i liścik twój do Wiochny, z którego się dowiedziałam, że mamy jednaki upodobania. Chciałabym bardzo z tobą korespondować. Mnie na imię Janina, zaliczam się do starszerek i mam to czego tak pragniesz, moja miła Cairo, bo mieszkam na wsi i cieszę się ciąglem obcowaniem z naturą. Ślicznie, ślicznie, moja Cyganeczko żłociста zbywać milczeniem nasze liściki; my teraz zagrozimy ci porządną burą jak ty nam kiedyś groziłaś. Ej, siostrzyczko, możemy ci posądzić o chęć zerwania korespondencji. Ściskam was i całuję moje miłe, czekając bardzo niecierpliwie odpowiedzi. Życzliwa wam siostrzyczka. *Topolka Srebrna*.

Miła Niezabudeczko, prosisz mnie o liścik, a cóż ci mogę donieść? chyba to iż spotkał mnie cios najdotkliwszy, gdyż mając rok 18-ty straciłam nazawsze tu na ziemi moją najlepszą matkę; zostałam sama jedna na świecie, ojciec umarł mi już dawniej, rodzeństwa też nie mam. O! jakże szczęśliwi są ci, którzy mają tych których ja straciłam w tak młodym wieku. Figlarczyko luba, donieś mi, czy już należysz do naszego grona sędziwych starszerek? Mazureczko złota, nie gniewam się na ciebie, ale pisuj do mnie. Mańciu milutka, na fortepianie nie gram, lecz muzykę lubię. Czy jeździsz konno? ściskam was wszystkich razem, przesyłam życzenia Nowego Roku. Odpowiedzi czeka stara przyjaciółka *Stokrotka z nad Stochodu*.

Droga Niezabudko Czeska, serdeczne dzięki za pamięć. Znam ciebie i całe twoje rodzeństwo z fotografii, poznałabym cię zatem, gdybyś cię spotkała. Czy w Warszawie, czy na wsi spędzisz zimę? Wróźbiarko Szczęścia, twój pseudonym zachęca do bliższej znajomości. Gdybyśmy się spotkały, to poprosiłabym cię nie o wywrożenie mi szczęścia, bo posiadam je obecnie, lecz o szczęśliwą wróżbę co do moich zamiarów osiągnięcia celu życia mego; to najciekawsza i najlepsza dla mnie wróżba. Żegnam was z nadzieją spotkania się w szrankach naszego konkursu. *Sędziwa Sarenka z nad Moroczku*.

Dziękuję wam bardzo, drogie moje, Perelko biała i Rosiczko z nad Rowu za wasze milutkie liściki. Czy długo bawiłaś w L. Perelko? Co porabiasz wieczorami? Jakież teraz książki czytasz? W jednej gubernji mieszkamy, luba Rosiczko, może się kiedyś spotkamy. Donieś mi, jak się nazywa miejsce twego zamiesz-

kania? Czy podobają ci się „Druga Matka”? Mnie zachwyca charakter Poli. Odpiszcie. *Niezapominajce z Zacisza*.

Droga Semitko! Otrzymał twój liścik ucieszyłam się bardzo, bo żadna jeszcze korespondentka nie odezwała się pierwsza do mnie. Na imię mi Janka, mam lat 10, mieszkam na Podolu. Jeżeli zechcesz ze mną korespondować, to bliższych szczegółów dowiesz się z następnego liściku. Tymczasem zaś proszę o odpowiedź. *Córa Mazurów*.

Moja kochana V. Cairo! Pseudonym twój bardzo mi się podoba, również jak „W złotej klatce” którą się zachwycałam, postanowiłam więc napisać ci coś o sobie. Imię mi Helenka, mieszkam w Warszawie, uczę się w domu, mam dwie siostry młodsze, najlepiej lubię muzykę. W Wieczorach Rodzinnych podoba mi się także bardzo Z Wyspy Atlanty. Gdzie mieszkasz, jak się nazywasz i co ci się najlepiej podoba w Wieczorach? Ściskam cię serdecznie i oczekuję z niecierpliwością twojej odpowiedzi. *Księżniczka wrzósów*.

Kochane i miłe Figlarko, Bluszczu, Stokrotko z nad Stochodu, Jesieni i Błyskawico? Dziękuję wam za pocztowe liściki i posyłam w zamian najserdeczniejszych noworocznych życzeń — niechaj każdej z was spełni się to czego pragnie najgoręcej. Chciałabym poznać cię, Figlarko, bo choć sama poważna jestem, przepadam za wesołymi osobkami. Bluszczu kochany, podobają ci się moje powiastki? Dziwi mnie to bardzo, gdyż bezstronnie sądząc nie zachwycają cię niemi sama wcale. Jesieni, latem i zimą mieszkam zawsze na wsi. Ściskam was wszystkie serdecznie. Życzliwa. *Wiochna z pod Lublina*.

Droga Lobelio! Ucieszyłam się, odebrał twój list i dziękuję ci za niego serdecznie. Ja mam tyleż lat co i ty, nazywam się Jadwiga B., mieszkam w wiosce Kazimirku niedaleko Kamieńca Podol. Jeżeli chcesz, będziemy korespondowały z sobą. Całuje cię *Podolanka*.

Milutka Rybko z Hniliopiaty! Przesyłam ci powinszowanie Nowego Roku; czy już przyzwyczaiłaś się do nowego trybu życia i czy nie tęsknisz za swą uroczą rzeczułką. Słyszałam, że ci się świetnie powodzi, lubiana jesteś przez wszystkich w klasztorze. Bez wątpienia, że święta spędziłaś wesoło w towarzystwie swojej mamusi i siostrzyczki; zazdroścę ci bardzo, że mego braciszka „Króla Ówieczka” widzieć będziesz. Przyjmij całuska dla siebie, i Tuni i odpisz twej *Białej Perełce*.

Kochane: Błękitna Kokardko, Babuńciu, Głównko Cukrowa, Sosno, Błyskawico, Polna Rózo, Niezapominajko z Zacisza i wy wszystkie, które do mnie pisujecie! W czasie uroczystości, w której wszyscy składają życzenia sobie nawzajem, i ja w myśli łamałam się z wami opłatkiem, życząc wam, moje drogie, dużo, dużo szczęścia!! Błękitna Kokardko! Babuńciu! Czemu się więcej nie odzywasz? Moja Głównko Cukrowa, spodziewam się, że i nadal będziesz prenumeratorką naszego ukochanego „Pisemka”. Sosenko! Nie gniewam się na ciebie za długie milczenie i zawsze jednakowo cię kocham. A wy, pozostałe drogie siostrzyczki, donieście, jak zapusty spędziłyście. Ja bym gawędziła długo z wami, najmiłsze moje, ale strach by list nie poszedł do kosza zmusza mnie kończyć serdecznym uściskiem.

Biała Perelka.

Drogi siostrzyczkom Cyganeczce z nad Wisły, Wiedence z Żywopłotu, Kwiatkowi Lotosu, Trawce z nad Fryby, Topolce Srebrnej i wszystkim czytelniczkom zasylam serdeczne życzenia na Rok Nowy. *Złota Pszczołka*.

Droga Stokrotko z nad Pilicy! Gdybyś wiedziała, jaką przyjemność sprawił mi twój liścik! Odległość nie pozwala, byśmy się osobiście poznały, lecz przez „Wieczory” możemy zawrzeć bliższą znajomość a nawet pokochać się, jako polne kwiatki. Mieszkam na wsi jak i ty, lecz daleko od wód Pilicy, bo aż na Ukrainie. Na imię mi Julia, jestem od ciebie o rok młodsza. Czy podobają ci się „Mała Księżniczka z Tower-Hillu”? ja z wielkim zajęciem czytam „losy małej Maggy”. Odpisz mi, droga Stokrotko, a odpowie ci niezawodnie twoja polna siostrzyczka *Biała Ostróżka*.